

# Misterium - Esej

Poznań, dnia 03.05.2003 r.  
A.D. w św. Maryi Królowej Polski

Zanim zacznę od opisu mojego udziału w Misterium Męki Pańskiej na Cytadeli, to może zacznę najpierw od samej historii, genezy Misterium, jako wielowiekowego teatru i mojego pierwszego z nim kontaktu.

Otóż to się zaczęło jeszcze na studiach aktorskich, kiedy to na zajęciach z historii teatru, pani profesor przedstawiła nam pierwsze szkice, rysunki, fotografie, dagerotypy - słowem pierwowzory ówczesnych średniowiecznych Misteriów sprzed kilkunastu wieków, które to w tamtejszych czasach odegrały ogromną rolę i to nie tylko na płaszczyźnie religijnej, gdyż Misterium, jak sama nazwa wskazuje, nie dotyczy tylko Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, ale również staje się monumentalnym wydarzeniem teatralnym pod względem scenografii, inscenizacji, kostiumów, w całościowej, doniosłej i spektakularnej formie.

Z czasem Misteria ulegały pewnym przeobrażeniom w swojej formie i widowiskowości, ale choć teoretycznie miały one początek w religii chrześcijańskiej, to jednak w praktyce wpisały się na stałe w ogólnoswiatowe dziedzictwo kultury, sztuki i teatru.

Tak więc, takie były moje pierwsze doświadczenia, jeśli chodzi o osobiste relacje z Misterium. Polegały one na teorii i mojej, związanej z nimi, wyobraźni.

Natomiast to pierwsze autentyczne zderzenie z "wielkim" dziełem, nie boje się tego słowa, gdyż za takie właśnie uważam, owe poznańskie Misterium na Cytadeli, w reżyserii Artura Piotrowskiego, wywołało we mnie pewien opór i niepokój. Obaj z Arturem poznaliśmy się parę lat wcześniej przy wspólnych realizacjach filmowych, które to później doprowadzić mnie miały do głębszego poznania wiary. Kontakt nasz odegrał bardzo ważną rolę na szczeblu duchowym, gdyż wtedy właśnie następował krok po kroku mój osobisty akt nawrócenia, a z czasem nawet syntetyczny, ukształtowany fundament wiary. Tak więc plany nasze i wspólne pomysły przeszły w film, który to zwiastował stałe kontakty z salezjanami. Natomiast salezjanie postawili na Misterium i na moje osobiste zaangażowanie, nie tylko w rolę, ale i w pewnego rodzaju świadectwo. I o tym trzeba by przede wszystkim powiedzieć. Myślę o świadectwie, nie tyle swoim, co wszystkich biorących w tym spektaklu udział, gdyż to salezjańskie Misterium M. P. stało się doniosłym wydarzeniem, nie tylko w historii miasta Poznania, ale i w swoim nowatorskim i współczesnym zamyśle, nawet Polski.

Spektakl, który w swojej istocie jest dziełem otwartym, to znaczy, że nie jest skonstruowany od początku do końca według ściśle określonego, w swojej precyzji scenariusza, gdyż pozostawia on, pomimo zarysowanej całości, naturalną wolność dla każdego, biorącego w nim udział, daje niezapomniane wrażenie, w ścisłym tego słowa znaczeniu - "Prawdy". Tak, prawdy istnienia, twórczego zaangażowania i co najważniejsze, prawdy obrazu odzwierciedlającego fakt historyczny i zawsze uniwersalny, jakim jest odkupienie Chrystusa Pana za grzechy ludzkości. Tłumy przychodzące, aby obejrzeć i doświadczyć tego widowiska, a było ich prawie zawsze kilkadziesiąt tysięcy, stanowią szczególną i wymowną odpowiedź na zapotrzebowanie i przeżycie owego sacrum, jakim jest Misterium. Świadectwa przeżyć i licznych nawróceń, mogą mówić same za siebie, to jest na pewno znak ducha czasu, w tym zlaicyzowanym i zsekularyzowanym świecie. Przez takie właśnie przedsięwzięcia, jakim jest Misterium, odbija się szerokim echem odwieczne ludzkie pragnienie na zaspokojenie własnego ducha. Dlatego dobrze jest, że tacy ludzie jak Artur Piotrowski, odczytują we właściwym dla siebie czasie swoją misję, powołanie, czy też swoje idee - jakkolwiek by to nazwać - realizacji ponadczasowego Dzieła Bożego. I chwala mu za to.

Jeśli chodzi o mnie, to mój stosunek, z początku nie był zbyt entuzjastyczny. Bardziej traktowałem to, jako pewnego rodzaju, nowe wydarzenie artystyczne, może nawet swojego rodzaju - "happening", niż dzieło sztuki teatralnej. Górę wzięła w tym wszystkim lojalność do Artura, może nawet forma dziękczynienia z mojej strony dla tego wszystkiego, co dla mnie kiedyś zrobił oraz za ten niezatarty szlak wspólnych przygód, realizacji i tego wszystkiego, co jeszcze przed nami. Ale nie o tym miałem mówić, choć to wszystko się w pewnym sensie łączy i owocuje w jakiś szczególny mianownik wspólnego doświadczenia...

Pamiętam dokładnie, jakie było moje pierwsze i chyba największe zdziwienie, kiedy reżyser zaproponował mi rolę Chrystusa. Było to w moim przekonaniu, tak mało realne i prawdopodobne, że aż w moim przypadku, wręcz paradoksalne i niemożliwe. Chrystus jako postać majestatyczna, wzniosła i ideał ludzkości był zawsze, w moim mniemaniu, poza wszelkim zasięgiem, nie tylko fizycznym i interpretacyjnym, ale przede wszystkim duchowym. Sam siebie, jeżeli już, to zawsze widziałem w postaci apostoła Piotra, który to jest odzwierciedleniem prawdziwie ludzkiej i analogicznie, bliskiej nam, charakterologicznie postaci. Pod każdym względem jego słabość, porywczność, pewnego rodzaju raptusowatość, przypomina nam o nas samych, równie zwodniczych i upadających. Choć w ostatecznym akcie, Piotr okaże gotowość do wyrwania się z człowieczej ułomności i powstanie, to jednak w efekcie daje nam zawsze uniwersalny obraz ludzkiej syntezy. Tak więc Piotr - to o nim myślałem i jego chciałem przedstawić, ale jak to w życiu bywa wszystkim rządzi przypadek, dziwny zbieg okoliczności, albo jak mawiał C. K. Norwid -

"Ironia losu". Bo też, w tymże czasie przygotowań, było mi dane poznać Ziemowita Howadka, chłopaka starszego, postawnego i dużo dojrzalszego, zarówno pod względem religijnym, jak i duchowym. I to o tym właśnie chłopaku rosłym i brodatym, Artur miał powiedzieć, że będzie Piotrem i jakby nie było, rzeczywiście był jego prawdziwym odzwierciedleniem. Nie było wątpliwości, że nie mogę się z nim równać, choć pewnie, gdybym przekonał reżysera własną wizją tej postaci, to myślę, że moje artystyczne sugestie wzięłyby w końcu górę, lecz chwała Bogu, na szczęście tak się nie stało. Więc wzięwszy pod rozwagę jeszcze raz, za i przeciw, zarówno wszystkie moje atrybuty, jak i niedoskonałości, preferencje, co do możliwości zinterpretowania roli Pana Jezusa, doszedłem w końcu do wniosku, że nie jestem w stanie udźwignąć tak dużej odpowiedzialności, jakim była w moim odczuciu postać Chrystusa oraz uniesienia na swoich barkach całego przedsięwzięcia, jakim było Misterium, z jego początkiem i końcem. Nie mogłem, nie chciałem i nie potrafiłem tego zaakceptować i tak już zostało.

Pamiętam jeszcze taki epizod, choć może się on wydać trochę nijaki do całego przedsięwzięcia, o którego historii próbuję opowiedzieć, to jednak zapewniam, że dla mnie znaczący i ważny. Dlatego postaram się go tylko pokrótce przedstawić. A było to jeszcze na studiach aktorskich, kiedy to na drugim roku, w okresie letnim, pojechaliśmy z grupą pod kierownictwem pana profesora Bogusława Kierca na warsztaty teatralne, do małej wiejskiej miejscowości. I tam to pewnego razu, rozmawiając z profesorem o moim udziale w Misterium M. P., dowiedziałem się jak to ona sam kiedyś miał okazję zmagać się z tą arcytrudną rolą, jaką jest sam Jezus. Poniekąd on został w to wplątany, gdyż człowiek, który miał Go odzwierciedlać, nagle zachorował. I zaraz profesor zaznaczył, że już nigdy więcej, wolałby nie stawać przed takim wyborem. Dał mi do zrozumienia, że to była rola ponad ludzkie możliwości, przynajmniej tak to wtedy odebrałem i zapamiętałem. On doświadczony i dobry aktor bał się i miał wiele wątpliwości, a cóż dopiero ja. I tak to odniosłem wrażenie, że dokonałem prawidłowego wyboru, gdyż postać Chrystusa była, jest i prawdopodobnie jeszcze długo będzie poza moim zasięgiem twórczym. Pan Kierc obiecał mi opowiedzieć o swojej pracy nad tą rolą następnym razem, ale jak to w życiu bywa, zaczęły się próby i rozmowa o jego udziale w Misterium przeleciała nam gdzieś w dal. Ja skończyłem studia, a on wyjechał... Piszę o tym, gdyż naprawdę uważam to za bardzo ważne i dość znaczące w moich wahaniach, rozterkach i ostatecznym współudziale w poznańskim Misterium...

Po kropkach piszę dalej - sam nie wiem, jak to się dokładnie stało, ale rzuciłem to Arturowi nagle, zupełnie tak po prostu, bez żadnego zastanowienia - "Zagram apostoła Jana". Do dziś dnia nie wiem dlaczego tak powiedziałem, ale tak się jakoś przedziwnym trafem, w praktyce i późniejszej realizacji stało. To jedna z tych myśli, które przychodzą

nagle i niespodziewanie, pod natchnieniem, a na które, wydawać by się mogło, nie mamy żadnego wpływu. Moją propozycję na szczęście, kolega Piotrowski od razu zaakceptował i tak się wszystko zaczęło. O Janie, prócz tego, że był apostołem, nie wiedziałem prawie nic. Potem, ale to potem dowiedziałem się z różnych źródeł, o tym, że był on najmłodszym z apostołów i że ten siedemnastolatek był również umiłowanym uczniem swojego Mistrza i że odczuwał nawet bicie Jego serca i jako jedyny został z Nim do końca, aż po krzyż. Tam to Jan z Maryją usłyszał, jakże znamienne słowa, od konającego Chrystusa: "Oto syn Twój, oto Matka Twoja". To wszystko, łącznie z wielką radością Zmartwychwstania swojego Pana, kiedy to Jan biegnie z apostołem Piotrem i krzyczy oraz dużo, dużo więcej zostało przeze mnie przyjęte i odpowiednio przedstawione w interpretacji Jana. Mógłbym jeszcze pisać wiele o pracy, próbach, niezapomnianych przeżyciach związanych z samym Misterium, ale obawiam się, że i tak na to wszystko nie starczyłoby mi emocji, miejsca, pamięci i czasu. Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że od samego początku, to jest od pierwszego spektaklu, który był przedstawiony w okolicach amfiteatru, aż po następne, już na placu pod Dzwonem Pokoju, miały miejsce liczne i niezapomniane kontakty, które poprzedzone zostały długimi i różnorodnymi rozmowami, wygłupami, a które z czasem przerodzić się miały w trwałe i wciąż istniejące w nas samych przeżycia, refleksje i znajomości. Do dziś dnia trwają jeszcze niezatarte ślady w naszej świadomości ówczesnych myśli, słów i pamięci o ludziach, których już nie ma, gdyż z różnych powodów musieli odejść na swoje już nowe, indywidualne drogi życiowe, ale których wciąż serdecznie wspominamy. I tak przygoda ta miała się z czasem stać, jednym z najważniejszych i trwałych wydarzeń w moim życiu. A choć brzmi to dość patetycznie, to jednak nie obyło się i bez wątpliwości, nie tylko pewnie moich, ale też wielu innych, biorących udział w takiej, czy innej formie w przedstawieniu. Była pokusa, aby opuścić to zbiorowe widowisko i wyjechać poświęcając się całkowicie sztuce i dramaturgii. Na szczęście, stało się inaczej, gdyż wątpliwości moje rozwiązał pewnego razu pan Krzysztof Zanussi, mówiąc mi, że to bardzo dobrze, że robię to co robię poza teatrem tradycyjnym i mam się tego trzymać. Więc tak już zostało... "Człowiek sobie marzy, śni, a z nudów przywdziewa frak. Przyjechałem na wesele i choć mi nie jedno wspaniale, jakoś, jakoś dobrze mi". Myślę, że reasumując ten referat krótką sekwencją z arcydzieła polskiego dramatu - "Wesele" S. Wyspiańskiego, oddam jakąś część, namiastkę tego co było i jest dobrym odpowiednikiem udziału i doświadczenia w przeżyciu tego, jakże innego zjawiska w dotychczasowym moim dorobku artystycznym. Mógłbym jeszcze powiedzieć o wspólnym wyjeździe parodniowym na sesję zdjęciową do Łeby, o tym, jak dźwigaliśmy ciężkie belki krzyży w górę ruchomych wydm, o wypadkach, zmęczeniu, szaleństwach i o końcowej fotografii, symbolizującej obraz piękna w tamtejszym, niebiańsko, pustynno-morskim pejzażu, a w kwintesencji odbitej i

widniejącej później na wszystkich ulotkach, folderach, plakatach, ale tego odczucia nie są w stanie wyrazić żadne słowa.

... A w czasie spektaklu, kiedy panowała ogólna ciemność, a tylko nieliczne reflektory oświetlały scenografię oraz poszczególne obrazowe sekwencje, dało się zauważyć tysiące ludzi ciekawych, skupionych, pełnych zamyśleń i jakiejś wewnętrznej kontemplacji nad tym co nieprzemijające i wieczne, w ich sercach i życiu. Tłumy, które jak ocean wypełniały plac pod Dzwonem Pokoju, stały się jakimś symbolicznym świadectwem zapotrzebowania ich duchowych odniesień i pragnień do tego co wieczne i wciąż aktualne.

... I jeszcze słowa, słowa papieża Jana Pawła II, które konkludowały całe przedstawienie i dodawały otuchy na przyszłość świata i ludzkiego istnienia.

Marcin F. Wawrzyniak